

**IGA DANISZEWSKA**

*Campbell  
Hill*



# Rozdział 1

## Maxton

– Nie mogę uwierzyć, że ugrzązłeś w takiej dziurze i to na własne życzenie – powiedział ze współczuciem Damien. – Masz trzydzieści trzy lata, nie musisz się słuchać rodziców.

– Mają na mnie haka – warknąłem, bo powoli zaczynało mnie denerwować to jego zrzęczenie, którego musiałem słuchać od wielu dni.

Wiedział, w jakiej sytuacji się znalazłem i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie miałem wyjścia. Może i byłem po trzydziestce, może nawet sam dorobiłem się całkiem przyzwoitego majątku, ale kiedy moja agencja nieruchomości, jedna z najlepszych na ówczesnym rynku, po prostu zdechła, nie umiałem sobie z tym poradzić. Miałem oszczędności i mógłbym rozkręcić coś nowego, ale zupełnie nie potrafiłem się do tego zabrać. Przez całe dorosłe życie tylko sprzedawałem domy. Od lat zajmowałem się pięknymi willami i nowoczesnymi apartamentami. Z uśmiechem na ustach podawałem moim klientom sześciocyfrowe kwoty, a oni akceptowali je z takim entuzjazmem, jakby dom z trzynastoma łazienkami był lekarstwem na raka.

Kiedy zostałem bez pracy, postanowiłem, że dam sobie tydzień na uzalanie się nad sobą, a później obmyślę nowy plan. Niestety, tydzień zamienił się w miesiąc, a później w dwa. W końcu pewnego wieczoru wylądowałem w jakimś dziwnym klubie, o którego istnieniu nie miałem wcześniej pojęcia i wróciłem do domu z blondynką, której imienia nawet nie pamiętałem. Gdy już ją przeleciałem, kobieta

uznała, że czas na dalszy ciąg zabawy i wyciągnęła ze swojej cekinowej, taniej torebki, saszetkę z białym proszkiem.

Nigdy wcześniej nie brałem, ale wtedy byłem najebany i dopiero co spuściłem się i to nie na własną rękę, więc czułem się jak pierdolony władca świata. Spróbowałem kokainy i musiałem przyznać, że całkiem mi się spodobało. Gdy na drugi dzień, jedynym śladem po tamtej blondynce, było w połowie pełne, małe, foliowe opakowanie, zamiast się go pozbyć, to schowałem je do szafki nocnej w sypialni. Zapomniałem o nim na wiele tygodni, a kiedy matka urządziła mi kolejną awanturę na temat tego, że zachowuję się jak życiowa oferma i powinienem się wziąć za siebie, w jakiś magiczny sposób, przypomniałem sobie o nim.

Niestety, gdy wziąłem na trzeźwo, nie będąc dodatkowo pod wpływem alkoholu, tak mną trzepnęło, że przez kilkadziesiąt minut, nawet nie wiedziałem, jak się nazywam. Na moje nieszczęście, swoją cegiełkę w znęcaniu się nade mną, postanowił dołożyć również ojciec. Wpadł do mojego mieszkania, żeby zrobić mi awanturę, zastając mnie na wpół przytomnego na kanapie, a dowody mojej „zbrodni” wciąż leżały na blacie w kuchni.

Zadzwoił po matkę, pozwolili mi trochę dojść do siebie, a gdy to już się stało, urządzili mi taką jazdę, że pewnie było ich słychać w całym śródmieściu. Przez godzinę próbowałem ich przekonać, że nie jestem uzależniony, a to był mój zaledwie drugi raz, ale oni wyciągnęli najcięższe działa. Uznali, że skoro tak, to nie powinienem mieć problemu z tym, żeby wyjechać na krótkie „wakacje” do Campbell Hill, do domu mojej zmarłej przed trzema laty babci. W rzeczywistości chcieli mnie wysłać do zabitej dechami dziury, gdzie pewnie nie ma nawet marihuany, a kokaina mieszkańcom kojarzy się z czymś, co dodaje się do mleka, żeby stało się czekoladowe.

W normalnych okolicznościach powiedziałbym, żeby spierdalali, nawet to zrobiłem, choć w łagodniejszy sposób, ale wtedy ojciec przestał się hamować. Zagroził, że odbierze mi jedyną rzecz, na której mi zależało. Co gorsza, faktycznie mógł to zrobić. Wystarczyłoby, żeby w tamtej chwili, wezwał do mojego mieszkania policję, a oni zmusiliby mnie, żebym się odlał na narkotest.

Nie miałem więc wyjścia. Musiałem się spakować i przyjechać tutaj, żeby „zastanowić się nad swoim życiem” – to słowa matki i „w końcu dorosnąć” – to ojca. Jakbym, kurwa, do tej pory był gówniarzem. A to nieprawda! Moje życie nigdy nie było łatwe, a przynajmniej nie w ciągu ostatnich lat. Los zmusił mnie, żebym szybciej dorósł. Kiedy moi kumple imprezowali w każdy weekend i sprowadzali do domów cipki, ja latałem z językiem na brodzie i błagałem obcych ludzi, żeby pozwolili mi sprzedać ich domy. Pierwszy raz byłem w klubie, gdy skończyłem dwadzieścia cztery lata i po raz pierwszy sprzedałem dom, który był wart ponad milion dolarów.

Moi rodzice nie mieli więc prawa zarzucać mi gówniarskiego zachowania oraz braku dojrzałości, tylko dlatego, że, kurwa, powinęła mi się noga. Nie mogłem jednak z nimi dyskutować, jeśli nie chciałem, żeby wprowadzili swoje groźby w czyny.

– Podrzucę cię do domu i spadam – oznajmił Damien.

Kiwnąłem głową, po czym wsiedliśmy do jego samochodu. Moi rodzice, idąc za ciosem, kazali mi zostawić auto w Chicago, pewnie po to, żebym nie mógł podjechać do jakiegoś pobliskiego miasteczka po dragi. Kurwa, oni naprawdę mieli mnie za narkomana.

Nie miałem pojęcia, w jaki sposób powinienem robić zakupy na wsi, gdzie jest jeden sklep, w dodatku oddalony o dwie mile od domu babci. Dlatego, zanim w ogóle tam pojechałem, zatrzymaliśmy się w tej budzie, zwanej przez

mieszkańców sklepem, co było dużym optymizmem z ich strony i zrobiłem zakupy, żeby nie zdechnąć z głodu przez kilka pierwszych dni.

Dame odpalił silnik, ale w wyjeździe z parkingu przeszkodził nam ogromny, niebieski pickup. Patrzyłem na niego, szeroko otwierając usta. Był to Chevrolet Silverado z dodatkowo podniesionym zawieszeniem, jeszcze trochę i mógłby brać udział w pokazach monster trucków.

Zerknąłem na przyjaciela, który również wbił w niego niedowierzające spojrzenie.

– Co te wsiowe lowelasy, mają z podnoszeniem tych pickupów? – zapytał, patrząc na potężny samochód.

– Nie idzie się tym zakopać w błocie – odpowiedziałem, bo osobiście rozumiałem zamysł czegoś takiego, co nie zmieniało faktu, że zupełnie to do mnie nie przemawiało.

Samochód zatrzymał się, a po chwili otworzyły się drzwi i... wyskoczyła z niego dziewczynka, która stojąc na ziemi, musiała unieść rękę na wysokość głowy, żeby w ogóle dosięgnąć klamki.

– No nie. – Roześmiał się Damien. – Jak tu się odpierdalają takie cyrki, to może jednak zostanę z tobą.

Rudowłosa dziewczyna przeszła obok nas, po czym zniknęła w sklepie, a mój przyjaciel cicho zagwizdał.

– Wieśniaczki są seksy – powiedział z głupawym uśmiechem na ustach.

Czy ja wiem? Kiedy odeszła od monsturalnego samochodu, przestała wyglądać jak dziesięciolatka, pewnie była koło dwudziestki. Miała na sobie dżinsy i zieloną, flanelową koszulę w kratę. Może i miała niezłą figurę, ale skutecznie utrudniła ocenę, ubierając niedopasowany, pewnie kilka rozmiarów za duży strój. No i była ruda. Nie, żeby coś, ale rude dziewczyny, to nigdy nie był mój target, zdecydowanie wolałem blondynki.

– Możemy już jechać? – zwróciłem się do przyjaciela, bo ten wciąż siedział i gapił się na drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna.

– Nie ma szans – prychnął. – Muszę zobaczyć, jak ona do tego wsiada.

Przewróciłem oczami, ale nie odezwałem się. Szczerze mówiąc, sam byłem tego ciekaw.

Sytuacja była absurdalna. Staliśmy w pełnym słońcu, na pustkowiu, pięć godzin drogi od Chicago, w dziurze, w której nie było nawet Walmartu i czekaliśmy, aż jakaś mała, ruda, wiejska dziewczyna, wyjdzie ze sklepu. Normalnie bym się na to nie zgodził, ale ten sklep był wielkości mojej garderoby, więc ta kobieta, na pewno nie będzie tam siedzieć godzinami.

Miałem rację. Wysła po pięciu minutach, a następnie podeszła do samochodu. Otworzyła drzwi, a później trzymając się za uchwyt zamocowany na nich, podciągnęła się do góry, stawiając jedną stopę na wystającym progu, a drugą wkładając od razu do auta. Zatrzasnęła je, a następnie odjechała.

Popatrzyliśmy z Damienem na siebie i parsknęliśmy śmiechem. Widać było, że ruda ma w tym wprawę i to zapewne jej samochód. Zwinność, z jaką wykonała każdy ruch, świadczył o tym, że to nie była fura pożyczona od chłopaka.

W końcu ruszyliśmy w kierunku domu mojej babci, a chwilę później, byliśmy już na miejscu. Na szczęście Dame nie zostawił mnie na podjeździe, tylko pomógł mi wnieść moje graty oraz te marne zakupy do środka.

Zaśmiał się, gdy tylko przekroczył próg. W tym domu nie było nikogo od śmierci mojej babci i od razu było to widać. Każdy przedmiot pokrywała gruba warstwa kurzu, nie wspominając nawet o tym, że to miejsce wyglądało

dokładnie na to, czym było: stary, rozklekotany dom, należący do dziewięćdziesięcioletniej staruszki. Nawet tak pachniał.

Zmarszczyłem nos, bo już wiedziałem, co mnie czeka oraz dlaczego mój przyjaciel parsknął śmiechem, kiedy wszedł do środka. Lubiłem ład i porządek. W moim domu zawsze było czysto, a każda rzecz, miała swoje miejsce.

– Nooo – powiedział Damien. – Przynajmniej nie umrzesz z nudów. Jak cię znam, to będziesz tu sprzątał przez najbliższy miesiąc.

– Nie wiem, czy będę w stanie tu posprzątać przez najbliższy rok – jęknąłem.

– To ja nie będę ci przeszkadzał – oznajmił, postawił moje walizki na podłodze i uciekł, jakby się bał, że zagonię go do robienia porządków.

– Dzięki, kurwa – warknąłem, choć tak naprawdę, nie wiedziałem, czy mówię do niego, czy do moich rodziców.

Podszedłem do lodówki i ją otwarłem, żeby pochować jedzenie, zanim się zepsuje. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale powinienem się domyślić, że w domu, w którym od lat nikt nie mieszkał, nie będzie prądu. Po chwili przekonałem się, że nie ma również gazu, ani wody. Usiadłem na zakurzonej krześle i zacząłem szukać w internecie odpowiednich numerów telefonów. Zaskoczyło mnie to, że jest tu w ogóle zasięg.

Byłem zdeterminowany, żeby znaleźć kogoś, kto może mi pomóc natychmiast. Dzisiaj musiałem mieć przynajmniej prąd. Było milion stopni na plusie i jeśli za chwilę nie włączę klimatyzacji, to się tutaj ugotuję, tak samo, jak całe jedzenie, które kupiłem, jeśli za chwilę nie znajdzie się w lodówce.

Obdzwoniłem elektrownie, gazownię i wodociągi. Po namyśle zadzwoniłem również do jakiejś firmy zajmującej



się klimatyzacją. Jeśli przez trzy lata stała nieużywana, to istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że szlag ją trafił.

O dziwo, wszyscy zgodzili się na przyłączenie mnie do sieci jeszcze dzisiaj, co świadczyło tylko o tym, że mieszka tu tak mało osób, że wszelkie firmy, zajmujące się usługami, są praktycznie bezrobotne.

Odkopałem papierowe ręczniki, które kupiłem w sklepie, a następnie zmoczyłem je w wodzie mineralnej, żeby przetrzeć lodówkę. Miałem przecucie, że do końca mojego pobytu, nie będę robił nic innego, tylko sprzątał. Z drugiej strony, co innego miałbym robić? Przejechałem już sporą część tej wiochy i nie znalazłem w niej nic ciekawego. Domy były oddalone od siebie o przynajmniej milę, większość była średniej wielkości. Nie były małe, bo architekci mieli wystarczająco przestrzeni, żeby nie musieć robić z nich wąskich klocek, jak to miało miejsce w Chicago, jednak sporo im brakowało do ogromnych willi, które sprzedawałem na przedmieściach. Największy dom znajdował się zresztą w sąsiedztwie domu mojej babci. Na pewno odległość do niego była przynajmniej milowa, ale był dobrze widoczny, bo znajdował się na wzgórzu. Miał może z dwieście metrów kwadratowych, a ja nawet nie pamiętałem, kiedy ostatnio sprzedawałem tak mały budynek. Poza tym widziałem jeden sklep, jakąś podejrzaną stację benzynową z wyblakłym od słońca logo, budynek, który zajmowały władze wsi i przynależący do niego plac z jakąś bładziwną rzeźbą oraz fontanną. Miałem przecucie, że nie ma tu nawet baru.

*To naprawdę cudowne miejsce.* Prychnąłem z irytacją, po czym wziąłem się za przecieranie lodówki.

# Rozdział 2

## Dallas

Wchodząc do domu przez garaż, od razu poczułam zapach pieczonych ziemniaków oraz przypraw. Zrzuciłam w holu buty, a potem skradając się na palcach, przeszłam do kuchni, podchodząc do ogromnego mężczyzny, który w fartuszk w różowe kropki, krzątał się przy kuchence.

– Co się tu dzieje?! – krzyknęłam, najgłośniej jak umiałam i wskoczyłam mu na plecy.

W pierwszej chwili poczułam, jak jego mięśnie sztywnieją, ale w kolejnej, roześmiał się głośno, po czym wyplątał się z mojego uścisku.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś tak nie robiła? – zganił mnie, ale nie był zbyt przekonujący, kiedy miał na twarzy uśmiech od ucha do ucha. – Kiedyś mogę być szybszy niż ty i zrobię ci krzywdę.

– Nie sądź. – Pokręciłam głową, sięgając po paprykę leżącą na desce, co skutkowało tym, że od razu dostałam po łapach. – Nie musiałeś gotować, mogłam to zrobić po pracy.

– Tak. – Skinął, a później otworzył piekarnik, sprawdzając, co z zapiekanką ziemniaczaną, jeśli mnie nos nie mylił. – I do tego czasu, umarłbym z głodu.

Spojrzałam na niego podejrzliwie, podeszłam do lodówki i ją otwarłam. Było tak, jak myślałam. Zjadł sześć kawałków pizzy, która została z wczoraj oraz przynajmniej dwie porcje makaronu, może i był ogromnym dwumetrowym mężczyzną, ale śmierć głodowa na pewno mu nie groziła. Mój tata, po prostu nigdy by się nie przyznał, że zrywa się

z pracy tylko po to, żeby ugotować swojej dwudziestoosmioletniej córce obiad. Nigdy.

– Idź się wykąpać – rozkazał, zatraskując mi lodówkę przed nosem. – Zaraz będzie obiad, a ty pewnie roznosisz jakąś chorobę wściekłych krów czy coś w tym stylu.

– Dzisiaj to co najwyżej pchły. – Zaśmiałam się, strzeżując coś niewidzialnego z rękawa.

Uciekłam przed szmatą wycelowaną we mnie i poszłam do swojego pokoju. Zabrałam świeże ubrania, a następnie weszłam pod prysznic.

Kiedy byłam już czysta i nie śmierdziałam jak zmočły pies, wróciłam na dół i usiadłam przy ladzie. W tym samym czasie zapiekanka wjechała na stół, a tata pozbył się w końcu tego śmiesznego fartuszka.

– Co w pracy? – zapytał jak każdego popołudnia.

– Nudy – odparłam, nakładając porcje zapiekanki na nasze talerze. – Pies Rose MacCalan, zeżarł reklamówkę. Myślałam, że nigdy jej z niego nie wyciągnę.

– Chryste, Dallas – warknął tata. – Nie przy obiedzie.

Wzruszyłam ramionami, uśmiechając się lekko. Byłam weterynarzem, mogłam jeść i odbierać psi poród jednocześnie. Nie robiło mi to żadnej różnicy. Mojemu ojcu też nie. Wychował się na farmie, więc reklamówka wyciągana z psa, to na pewno jedna z łagodniejszych rzeczy, jakie mógł zobaczyć. Po prostu chyba próbował mnie „dobre wychować” i wbić mi do głowy, że przy stole nie gadamy o wymiotach, krowich plackach, czy operacjach żołądka u kotów. Tyle że ja to wszystko wiedziałam, a jednocześnie nie miałam zamiaru udawać kogoś, kim nie jestem, we własnym domu. Mogłam się zlitować nad obcymi ludźmi i w towarzystwie trzymać buzię na kłódkę, ale nie tu.

Przez kilka minut jedliśmy w milczeniu.

– A co w ratuszu? – zapytałam, żeby przerwać ciszę.

– Zajmujemy się organizacją loterii fantowej, na doroczny festyn z okazji Święta Niepodległości – powiedział, pocierając twarz dłonią. – Nasze drogie Panie, nie mogą się zdecydować, jakie ciasta upiec.

– Jak zawsze – westchnęłam. – I tak w końcu każda upiecze coś innego.

– Dorzucasz się? – Spojrzał na mnie, a ja pokiwałam głową.

– Jak co roku. – Wstałam, żeby pozbierać talerze i włożyć je do zmywarki. – Pełny przegląd zwierzaka, z badaniami krwi łącznie. Właściwie to możesz wrzucić dwie takie nagrody. Ostatnio nie mam zbyt dużo pracy.

– Bo naprawdę leczysz te zwierzęta, a nie tylko zaklejasz dziury lekami – oznajmił ojciec z nieskrywaną dumą w głosie.

– A jak nasze czworonogi? – zapytałam, zatraskując zmywarkę.

– Cody właśnie je zamyka – odpowiedział, a następnie podszedł do lodówki, wyciągając z niej piwo.

– Burmistrz nie powinien być alkoholikiem – oznajmiłam, puszczając do niego oko i wychodząc z kuchni.

– Burmistrz pije jedno piwo w tygodniu! – odrzyknął do moich pleców.

Obeszłam dom, a następnie skierowałam się na drugi koniec działki. Szybko namierzyłam wzrokiem Codiego, który właśnie zamykał drzwi do stajni.

– Nie zamykaj! – krzyknęłam, po czym przyspieszyłam.

Miałam spory dystans do pokonania. Co prawda nie trzymaliśmy tutaj naszej hodowli, ona znajdowała się cztery mile stąd i liczyła ponad dwieście koni, ale tu, koło naszego domu, mieliśmy azyl dla staruszków i dla naszych ulubieńców, jednak trzymanie ośmiu koni czystej krwi arabskiej i tak wymagało sporego wybiegu.

– Cześć. – Stałam przy najbardziej oddanym pracownikowi, jakiego zatrudnialiśmy. – Wszystko w porządku?

– Nikt nie zachorował – odpowiedział natychmiast Cody. Był moim rówieśnikiem i pracował u nas, odkąd pamiętam. Dosłownie od zawsze. Kochał konie i najpierw przychodził tu dla własnej rozrywki, gdy jeszcze nawet nie był w stanie wsiąść na żadnego z nich, a później postanowił z nami zostać. Najbardziej lubiłam w nim to, że mówił o zwierzętach jak o ludziach. – Wszyscy mają się dobrze, ale wiem, że i tak mi nie uwierzysz, więc idź sprawdzić.

Zaśmiałam się i szturchnęłam go lekko w ramię, przeciskając się obok, a on poszedł za mną. Szliśmy wzdłuż boksów, a ja sprawdzałam, jak się mają moje staruszki. W końcu doszłam do jednej zagrody, w której siwy koń, stał tyłem do przejścia.

– A temu, co? – zapytałam Codiego.

– Chyba jest obrażony. – Wzruszył ramionami. – Potrzebuje, żeby go dobrze przegonić.

– Sir William? – powiedziałam łagodnie do konia, ale machnął tylko łbem i postanowił mnie olać.

Przewróciłam oczami, kręcąc głową z dezaprobatą. Dobrze się dobraliśmy, nie ma co. Sir William był mój. Wybrałam go pięć lat temu, gdy tylko się urodził. Był uparty i niezbyt posłuszny, czyli zupełnie nie wpisywał się w to, co konie arabskie sobą reprezentowały. Wiedzieliśmy, że nie będzie mógł zostać sprzedany za regularną cenę, więc postanowiłam go sobie zostawić. Lubiałam jego humorki.

Oparłam się łokciami o boks i klasnęłam w dłonie. Zero reakcji.

– Ty cholerny, uparty, mule – warknęłam, zniżając głos, żeby sprawić wrażenie groźnej. – Pojadę z tobą jutro na przejażdżkę, zgoda?

Nic.

– Oddam cię do rzeźni, żeby cię przerobili na kabanosy – fuknęłam.

Koń spojrzał na mnie jednym okiem, a ja groźnie zmarszczyłam nos.

Cody zachichotał, psując trochę efekt grozy.

– Nie kochasz mnie – rzuciłam oskarżycielsko i zrobiłam smutną minę. – Może więc powinnam bardziej zaprzyjaźnić się z Mary Kay.

Koń parsknął cicho, po czym powoli odwrócił się w moją stronę. Podszedł do mnie i pchnął mnie pyskiem, ale byłam na to przygotowana, więc nie zdołał mnie przewrócić, bo wbiłam palce w drzwiczki boksu.

– Jesteś uparty jak osioł – powiedziałam z uśmiechem, głaszcząc go po chrapach. – I obraźliwy jak panienka.

Parsknął, złapał zębami za kosmyk moich włosów, odgryzł je i rzucił na ziemię. Wzruszyłam ramionami, należało mi się. Chyba od dwóch tygodni nigdzie go nie zabrałam, a dla niego wybieg, choćby nie wiem jak duży, to i tak było za mało.

Niestety, może i miałam mało pracy w klinice, ale za to całkiem sporo w hodowli. Przygotowywaliśmy cztery kładki na sprzedaż, a to wymagało sporo papierkowej roboty i nie tylko.

– Pojedziemy gdzieś jutro – powiedziałam, nie przestając go głaskać. – Obiecuję.

Stałam z nim jeszcze kilka minut, głaszcząc go i całując, żeby zmazać swoje winy, a później razem z Codym wyszliśmy ze stajni.

– Idziesz na ognisko w sobotę? – zapytał, gdy zamknęliśmy już stajnię.

– Jasne. – Pokiwałam głową.

– Super. – Uśmiechnął się. – Dużo ludzi się wybiera.

– Tak słyszałam, będzie fajnie. – Pomachałam mu na pożegnanie i ruszyłam do domu.

Na zewnątrz było już ciemno. Rozejrzałam się dookoła i gwałtownie się zatrzymałam. Wyraźnie coś mi nie pasowało w krajobrazie. Powoli przeczesalam wzrokiem całą dolinę i zatrzymałam się po prawej stronie. W Domu Jane Jenkins paliło się światło. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że staruszka nie żyła już od trzech lat.

Puściłam się biegiem do domu, po czym od razu wpadłam do salonu, nie zwracając sobie głowy zdejmowaniem butów.

– Dom Jane został sprzedany? – zapytałam ojca, stając przed nim i zasłaniając mu telewizor.

– Nie – zaprzeczył. – Tylko nie mów, że chcesz się ode mnie wyprowadzić i zastanawiasz się nad jego kupnem.

– Nie pora na żarty. – Machnęłam ręką. – Ktoś tam jest. Ojciec spojrział na mnie pytająco.

– Światło jest zaświecone – sprecyzowałam.

Tata wstał, poszedł do spiżarni, a po chwili wrócił i podał mi dubeltówkę.

– Idziemy to sprawdzić – rzucił, ruszając w kierunku drzwi.

# Rozdział 3

## Maxton

Kiedy tylko podłączyli mnie do wszystkich sieci, wziąłem długi prysznic, bo miałem wrażenie, że pachnę dziećmiędziesięcioletnią starszą panią, a później zabrałem się za... sprzątanie. Choć może to za dużo powiedziane, bo zdążyłem tylko ogarnąć sypialnię, w której miałem zamiar spać. Wszystkie rupiecie wyrzuciłem na korytarz, z pustych mebli starłem kurz i umyłem podłogę. W połowie miałem ochotę zamówić kontener, wyrzucić do niego całą zawartość tego domu i kupić nowe meble. Jednak uznałem, że nie mając pracy, ani nawet pomysłu na nią, takie marnowanie oszczędności to głupota.

Gdy skończyłem, wykąpałem się po raz kolejny. Założyłem dresowe spodnie oraz podkoszulek, ponieważ miałem zamiar jeszcze posiedzieć w sieci, a z jakiegoś powodu kusiło mnie, żeby zrobić to na werandzie, zamiast jak zwykle w domu.

Zgasiłem światło w sypialni i po ciemku, zacząłem schodzić po schodach. Po ciemku kurwa, bo najwyraźniej żarówka na klatce schodowej, przepaliła się sto lat temu. Byłem zły, na babcię. Żyła w takich warunkach, chociaż mój ojciec milion razy proponował jej remont tego domu. Zawsze odmawiała, zgadzała się tylko na niezbędne naprawy. Dzięki temu, kiedy wysiadły przedwojenne klimatyzatory, które wkładało się w okna, ten dom dorobił się centralnej klimatyzacji. Ratowało mi to dupę, bo pogoda w tym roku coś sobie popierdoliła i chociaż był czerwiec, to



było gorąco oraz wilgotno jak w sierpniu, kiedy wdychając powietrze, ma się wrażenie, że się tonie.

Byłem w połowie schodów, kiedy usłyszałem kroki na drewnianej werandzie na zewnątrz.

– Co do cholery? – warknąłem cicho do siebie.

Odruchowo miałem ochotę wrócić do sypialni, żeby zabrać broń, ale od razu sobie przypomniałem, że starzy również tego mnie pozbawili. Nie wiem dlaczego, może się bali, że ogarnięty narkotykowym głodem, strzelę komuś w łeb? Ja pierdołę.

Przyspieszyłem, zbiegłem po kilku ostatnich stopniach, po czym wpadłem do kuchni, złapałem nóż, który znajdował się na blacie i stanąłem w korytarzu, w oczekiwaniu na nieproszonych gości. Kroki po drugiej stronie ucichły, jakby osoba za nimi czaiła się, tak samo, jak ja. Po chwili drzwi odskoczyły i uderzyły o ścianę.

Wyciągnąłem przed siebie uzbrojoną rękę. Nagle, tuż przed oczami, zobaczyłem cztery wąskie rurki, wycelowane prosto w moją twarz. Przełknąłem ślinę, a jakiś irracjonalny głosik w mojej głowie powiedział, że w starciu z dwoma dubeltówkami swojego Glocka, mógłbym, co najwyżej włożyć w dupę, żeby nie narobić sobie wstydu.

– Co tu robisz? – rozległ się niski męski głos.

Było ciemno, ponieważ nie było tu nawet lamp ulicznych, więc widziałem tylko zarys postaci. Ten facet musiał być ogromny, druga sylwetka była maleńka. Dałbym sobie rękę uciąć, że kobieca.

– Mieszkam – powiedziałem, odchrząkując, bo z nerwów zaschło mi w gardle. – To dom mojej babci.

– Jak się nazywasz? – zapytał mężczyzna, ale wyraźnie zauważyłem, że nie ma już tej samej agresji w głosie.

– Maxton Jenkins – przedstawiłem się.

Nastąpiła chwila ciszy, a po chwili usłyszałem pstryk i hol zalało światło.

Patrzyłem na olbrzymiego, postawnego mężczyznę, miał brązowe włosy, całkiem imponującą brodę i szerokie ramiona. Wyglądał jak pieprzony wiking. Obok niego stała mała, szczupła ruda dziewczyna, która patrzyła na mnie z nieufnością i trzymała dłoń na włączniku. Spojrzałem na nią z niedowierzaniem, to była ta sama dziewczynka, która do sklepu przyjechała monster truckiem.

– Pierdolony Charles, sam nie ma zamiaru tu wrócić? – Zaśmiał się głośno mężczyzna, a następnie opuścił broń. Po chwili spojrział znacząco na dziewczynę, a ona zrobiła to samo. – Wyglądasz jak skóra zdjęta z ojca, ta śliczna buźka do dzisiaj śni mi się po nocach.

– Znać się? – zapytałem głupkowato.

– Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi – zagrział tubalnym głosem. – Obiecaliśmy sobie, że po studiach wrócimy tutaj, jak widać, tylko ja dotrzymałem słowa. Nazywam się Carson Howard.

Ruda dziewczyna, która wciąż patrzyła na mnie podejrzliwie, odchrząknęła znacząco.

– A tak – powiedział mężczyzna, wyraźnie widziałem, że zrobiło mu się głupio. – To moja córka, Dallas.

– Maxton. – Skinąłem jej głową. – Miło mi was poznać.

Dziewczyna roześmiała się głośno, złapała się za brzuch i oparła łokciem o strzelbę.

– Na pewno. – Pokiwała głową. – To z pewnością było najmielsze powitanie na świecie. Musisz nam wybaczyć, bardzo dbamy o to, żeby opuszczone domy, nie były zamieszkiwane przez dzikich lokatorów.

– Ach tak... To może... piwa? – zapytałem, żeby rozładować atmosferę, która wciąż była napięta.

Dziewczyna spojrzała na ojca i mógłbym przysiąc, że bez słów udzieliła mu pozwolenia. Jasna cholera, ta mała trzymała pierdolonego wikinga za jaja.

Kiedy szliśmy do kuchni, dotarło do mnie, że Dallas wcale nie była niska. Miała przynajmniej metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, ale otaczała się olbrzymami przez co, wydawała się tak maleńka. No cóż, ja miałem metr dziewięćdziesiąt, więc i przy mnie wyglądała na niezbyt wysoką. Poza tym musiałem przyznać rację Damienowi. Teraz kiedy miała na sobie czarne legginsy i obcisłą bluzkę na ramiączkach, wyraźnie było widać kształtny tyłek i całkiem ładne, choć może trochę małe piersi. Mój przyjaciel musiał mieć niezłe oko.

Weszliśmy do kuchni, a oni usiedli przy stole, jakby byli tutaj tysiące razy. Pewnie tak było, mógłbym się założyć, że znali ten dom lepiej niż ja.

Podaliśmy im po butelce i spojrzałem na nich przepraszająco.

– Zdażyłem posprzątać tylko sypialnię, więc nie chcę wam proponować zakurzonych szklanek – wytłumaczyłem się.

Dziewczyna po raz kolejny zachichotała, a następnie otworzyła butelkę kluczem, po czym to samo zrobiła z piwem ojca i wyciągnęła do mnie dłoń. Podaliśmy jej butelkę, a ona zręcznie otworzyła ją jednym machnięciem ręki i mi oddała.

– Co tu robisz? – zapytała, wbijając we mnie zielone spojrzenie. Jej oczy wyglądały jak dwa szmaragdy, miały naprawdę bardzo ładny kolor.

– Potrzebowałem przerwy od miasta – oznajmiłem, stając się, żeby mój głos nie zabrzmiał fałszywie. – Przyjechałem na wakacje.

– Taak – powiedział Carson, upijając łyk piwa. – Wy, mieszcuchy zawsze uciekacie na wieś, jak pęd miasta was przerasta.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, więc kiwnąłem tylko głową.

– Twój stary ma zamiar cię tu odwiedzić? Nie rozmawiałem z nim dłużej, od... – zastanowił się przez chwilę – tak, miałeś wtedy z pięć lat, bo pamiętam, że było to tuż po tym, jak Dallas się urodziła.

Serio? Ona była tylko pięć lat młodsza ode mnie? Spojrzałem na dziewczynę, szukając w jej twarzy potwierdzenia. Nie wyglądała na swoje lata, miała gładką, lekko muśniętą słońcem twarz. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się nawet, że jest pełnoletnia. Obstawiałem, że ledwo skończyła dwadzieścia lat.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziałem. – Nie rozmawialiśmy o tym.

– Nie lubi tu przyjeżdżać – odparł. Uderzyło mnie to, że nie zadał pytania, tylko stwierdził fakt. – Na pogrzebie Jane, wymienił ze mną tylko dwa zdania i uciekł, jakby się paliło. A ciebie chyba w ogóle nie widziałem.

– Nie dałem rady przyjechać – odpowiedziałem, czując się trochę jak pieprzony buc.

Nigdy nie przyjeżdżałem do babci. Spędzałem z nią całe wakacje, ferie i każde święta, ale to zawsze ojciec przywoził ją do nas. Próbowałem sobie przypomnieć, dlaczego tak było, ale nie umiałem. Po prostu było tak, odkąd pamiętałem, więc nigdy o tym nie rozmyślałem. A na jej pogrzeb nie przyjechałem, bo byłem w szpitalu, modląc się, żeby chociaż to życie, zostało ocalone. Kochałem babcię i bardzo przeżyłem jej utratę, ale ona zmarła ze starości, a na moich oczach odchodził ktoś, kto miał całe życie dopiero przed sobą.

– To był pogrzeb twojej babci – odezwała się niespodziewanie dziewczyna, patrząc na mnie spod przymrużonych powiek. – Co było ważniejsze?

Posłałem jej zdziwione spojrzenie. Serio? Zadała mi takie pytanie? Przecież to nie był, kurwa, jej interes.

– Byłem w szpitalu – odpowiedziałem wymijająco, bo nie miałem ochoty opowiadać jej o swoim życiu po tym, jak na dzień dobry uznała, że pewnie jestem zwykłym chujem, który olewa własną babcię.

– Aha – mruknęła, a ja wyraźnie zobaczyłem, jak się zaczerwieniła. – Przepraszam.

Kiwnąłem głową, bo nie wiedziałem, co mógłbym jej odpowiedzieć.

Przez kilka minut rozmawialiśmy o mało istotnych rzeczach, chociaż dzięki tej rozmowie, mogłem mniej więcej zorientować się, jak wygląda tutejsze życie. No cóż, moim zdaniem było niemiłosiernie nudne oraz przewidywalne.

– Czas na nas – oznajmił po chwili wiking i odstawił pustą butelkę na stół. – Już późno.

– Jakbyś czegoś potrzebował – powiedziała dziewczyna, wstając – to mieszkamy w tym domu na wzgórzu.

– Dzięki – odpowiedziałem, a moja złość na Rudą trochę minęła. Sprawiała wrażenie, jakby mówiła szczerze i wcale nie zdziwiłaby się, gdybym przyszedł do nich z jakąś prośbą.

– A w sobotę jest ognisko – poinformowała mnie, gdy była już przy drzwiach wyjściowych. – Powinieneś wpaść. Będzie naprawdę sporo ludzi, a ty będziesz mógł poznać sąsiadów.

– Postaram się – odrzekłem, ale oczywiście kłamałem. Nie miałem najmniejszego zamiaru zapoznawać się z kimkolwiek stąd. Ile ta wiocha miała mieszkańców? Trzystu? Stałbym się główną atrakcją. Dziękuję bardzo, ale nie skorzystam.

Pożegnaliśmy się, a ja zamknąłem za nimi drzwi i upewniłem się, że tym razem przekręciłem klucz.

# Rozdział 4

## Dallas

– Gdybyś mnie potrzebowała, to dzwoń – powiedziałam do Abbey, mojej współpracownicy i przyjaciółki w jednym. – Jestem cały czas pod telefonem.

– Naprawdę? – rzuciła, przewracając oczami. – Nie wiedziałam.

Uśmiechnęłam się do niej, po czym wyszłam z kliniki. Wiedziałam, że byłam trochę nadgorliwa, jednak nic nie mogłam na to poradzić. Nie lubiłam urywać się z pracy, ale z drugiej strony czułam się kiepsko, siedząc tam i nic nie robiąc, kiedy w stadninie aż się gotowało.

Champ Paradise była jedną z najlepszych hodowli koni w kraju. Nasze wierzchowce brały udział w wystawach oraz konkursach. Bywały takie lata, gdzie potencjalni kupcy byli zmuszeni czekać w kolejce na swoje upragnione zwierzęta. A my dbaliśmy o to, żeby każdy z naszych podopiecznych był zdrowy i dopieszczony. Wielu okolicznych mieszkańców pracowało dla nas. Czasem czułam, że to nie tylko biznes mojej rodziny, ale i całej społeczności.

Kilkanaście minut później byłam już na miejscu. Zaparkowałam obok niewielkiego budynku, a następnie wyskoczyłam z samochodu. Weszłam do środka i przywitałam się z Jillian.

– Jakież papierki dla mnie? – zapytałam, opierając się o wysoki blat w recepcji.

– Twój tata był tu kilka minut temu i chyba wszystko zabrał – odpowiedziała.

– Cholera, przecież mu mówiłam, że się tym zajmę – westchnęłam.

Najwyraźniej tata uporał się już z ciastami na festyn i uznał, że mnie wyręczy. Oczywiście nie widział potrzeby, żeby mnie o tym informować.

Jill uśmiechnęła się, przewracając jednocześnie oczami.

– Mówił coś o tym, że powinnaś mieć więcej czasu dla siebie – oznajmiła. – Chyba uważa, że jesteś pracoholiczką.

Zrobiłam głupkowatą minę i poszłam na zaplecze, żeby wyjść bezpośrednio na wybieg.

Stałam przy bramce, patrząc na ogromny teren. Co ja tutaj niby miałam robić? Nie lubiłam fizycznej pracy w hodowli. Miałam zbyt miękkie serce i każda czynność wykonywana przy koniach, zbliżała mnie do nich, a później, gdy je sprzedawaliśmy, przeżywałam to przez wiele tygodni. Od lat starałam się zajmować tylko papierkową robotą i ewentualnym leczeniem, żeby nie łamać sobie serca. Ludzie, którzy tu pracowali, bardzo dbali o każde zwierzę, więc nie czułam potrzeby, żeby ich sprawdzać.

Po kilku minutach beczynnego patrzenia się na konie odwróciłam się i weszłam z powrotem do budynku.

– Jadę do domu – oznajmiłam z rezygnacją. – Sir William potrzebuje mnie bardziej niż ktokolwiek tutaj.

Kobieta pomachała mi na do widzenia, a ja po raz kolejny wsiadłam w samochód.

Po drodze miałam ochotę zadzwonić do taty i na niego trochę nakrzyczeć, ale w końcu uznałam, że to bez sensu. Jeśli przez tyle lat nie nauczyłam go, żeby informował mnie, jeśli zabiera mi pracę, to pewnie teraz też nic nie zdziałam.

Zaparkowałam na podjeździe, zamiast w garażu, bo wiedziałam, że samochód może być mi jeszcze dzisiaj potrzebny, a później weszłam do domu, żeby się przebrać.

Wcisnęłam na tyłek obcisłe bryczesy i zesłam na dół, aby odnaleźć swoje buty. Cholera, naprawdę długo olewałam mojego konia, skoro nawet nie wiedziałam, gdzie one są.

\*\*\*\*

Pot lał mi się po plecach, kiedy dwie godziny później wracałam z przejażdżki z Sir Williamem. Byłam zmęczona, jakbym co najmniej to ja wiozła konia na plecach. Z kolei on, sprawiał wrażenie lekko obrażonego, że już kończymy.

– Obiecuję, że już cię nie zostawię na tak długo – powiedziałam, głaskając go po grzywie. – Ale nie jesteś pępkiem świata i musisz to w końcu zrozumieć.

Odpowiedział mi rzeniem, które mówiło mi, że absolutnie się ze mną nie zgadza.

– Dallas! – usłyszałam głos po prawej stronie. – Co słychać?

– Lee! – Pomachałam mu, zatrzymując konia.

Zeskoczyłam z jego grzbietu i trzymając za lejce, poprowadziłam do ogrodu Jane.

– Co tu robisz? – zapytałam chłopaka. – Maxtonowi wysiadła klimatyzacja?

– Dokładnie – przytaknął. – Byłem tu wczoraj, kiedy ją uruchomiłśmy. Uzupełniłem freon, ale od razu mówiłem, że to pewnie niewiele da. Trzeba ją było wymienić na nową.

Usłyszałam za sobą kroki, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam Maxtona, schodzącego właśnie po schodach. Poczulałam lekki dreszcz na plecach. Chłopak był ciachem, już wczoraj to zauważyłam.

– Dallas? – Spojrzał na mnie z zaskoczeniem, a później przeniósł wzrok na Sir Williama.



– Maxton? – odpowiedziałam z uśmiechem. – Pierwsza lekcja mieszkania na wsi: wszyscy się tutaj znamy.

Wskazałam dłonią na Lee, a on uśmiechnął się, potwierdzając moje słowa.

– Chodziłem z nią do klasy – powiedział chłopak, dokręcając kolejne śruby. – Była największym kujonem, jakiego w życiu poznałem.

– Ty za to – uśmiechnęłam się złośliwie – od pierwszego dnia szkoły, prześladowałeś Margaret. – Odwróciłam się w kierunku Maxtona. – Był takim mistrzem podrywu, że sześciolatce powiedział, że kiedyś się z nią ożeni.

– I dopiąłem swego – oznajmił Lee z dumą, prezentując obrączkę na palcu.

– Zgodziła się za ciebie wyjść, tylko dlatego, żebyś dał jej spokój – zadrwiłam, choć zdawałam sobie sprawę, że kłamię. Po wielu, wielu latach Margaret, w końcu odwzajemniła uczucia Lee i w liceum zostali parą.

– Nieważne dlaczego. – Zaśmiał się. – Ważne, że zadziało. Skończone.

Wskazał na przymocowany klimatyzator. Maxton od razu do niego podszedł, po czym wręczył mu zwitek banknotów.

– Dziękuję – powiedział. – Ugotowałbym się bez niej.

– Nie ma sprawy. To moja praca.

Pożegnaliśmy się z Lee, a później zwróciłam się do Maxa:

– Na mnie też już pora.

Sir William najwyraźniej zrozumiał, że chcę go zabrać do domu, więc przysunął pysk do mojej głowy.

– Nie! – krzyknęłam, uchylając się. – Wczoraj mnie wyskubałeś, nie zgadzam się na więcej! Nie mam zamiaru zostać łyśa.

Koń parsknął, a Maxton miał taką minę, jakby zobaczył wariatkę.

– Odgryza mi kosmyki włosów, kiedy jest na mnie zły  
– wytłumaczyłam z powagą.

– Jeździsz konno? – zapytał głupekowato, co wywołało u mnie wybuch śmiechu.

– Nie – odpowiedziałam, parszkając prawie jak mój koń.  
– Wyprowadzam go na smyczy, żeby się załatwił.

Maxton w końcu zrozumiał, co powiedział i szeroki uśmiech rozświetlił jego pociągającą twarz. Miał zmierzwione czarne włosy, a w niebieskich oczach figlarne iskierki. Był przystojny, w dodatku był również wysoki i ładnie zbudowany. Na pewno miał ogromne powodzenie w mieście, a to oznaczało, że w ciągu kilku następnych dni, skradnie serca wszystkich dziewczyn w okolicy. Nasza wioska liczyła niewiele ponad trzystu mieszkańców, świeża krew w postaci nowego, gorącego mężczyzny, na pewno napędzi mu rzesze fanek. Miałam nadzieję, że był na tyle dojrzały, że nie zamierzał tego wykorzystać.

– Chcesz się czegoś napić? – zapytał po chwili. – Albo on?

Spojrzałam na konia, który zawzięcie skubał trawę. Wiedziałam, że robi to celowo. Udaje zajętego, żebym nie zabrała go do domu.

– Wiadro wody. – Wskazałam na Sir Williama. – A dla mnie cokolwiek.

Przywiązałam konia do poręczy, a następnie weszłam na werandę, po czym usiadłam na wysłużonym krześle.

Po chwili już cała nasza trójka miała coś do picia i wszyscy wyglądali na zadowolonych.

– Nie chciałaś nigdy stąd wyjechać? – spytał Maxton, pewnie po to, żeby przerwać ciszę.

– Nie – zaprzeczyłam stanowczo. – To moje miejsce.

– W mieście miałybyś więcej możliwości – oświadczył, a ja poczułam nieprzyjemny ucisk w brzuchu. Nie lubiłam,

gdy ktoś uważał miasta za jedyne właściwe miejsce do życia. – Mogłabyś robić, co tylko chcesz.

– Skąd przekonanie, że tego nie robię? – zapytałam, patrząc na niego podejrzliwie.

– A co tu można robić? – rzucił takim tonem, jakbyśmy się znajdowali w najgorszym miejscu na ziemi, dla którego nie ma żadnego ratunku.

– Mogę cię o coś zapytać? – Spojrzałam na niego, mocno hamując gniew, który nagle zaczął mnie zalewać potężnymi falami. – Jak wielu znasz swoich sąsiadów?

– Hm... kilku – odpowiedział po chwili zastanowienia i spojrzał na mnie, jakby nie rozumiał, o co mi chodzi.

– A ja tu znam wszystkich – rzuciłam. – Jeśli potrzebuję pomocy, to mogę pójść do każdego z tych domów i ją dostanę, bo ci ludzie wiedzą, że na to samo mogą liczyć u mnie. Mary, która pracuje w sklepie, zawsze odkłada dla mnie lody malinowe, a Lee, najprawdopodobniej wymieniłby mi klimatyzator za darmo, musiałabym tylko zapłacić za jego kupno, bo tak się składa, że często opiekuję się jego synem, kiedy chce zabrać żonę na randkę. Nawet najbiedniejsza rodzina we wsi, może liczyć na pełny brzuch i stos zabawek dla dzieciaków na święta, bo nikt z nas, nie mógłby spać spokojnie, jeśli jakieś dziecko zostałoby bez choćby małego prezentu. Kiedy przychodzi zima i śnieg przewraca słupy elektryczne, nikt nie marznie, bo każdy, kto ma w domu kominek, z chęcią gości swoich sąsiadów, którzy go nie mają, tak długo, jak trzeba. Nie ma tu ani jednej osoby, która mieszkałaby na ulicy, albo chodziła głodna. Więc wybacź, ale nie sądzę, że miasto, to lepsze miejsce do życia, nawet jeśli ma kluby nocne na każdym skrzyżowaniu.

– Mogłabyś się rozwijać zawodowo – powiedział, lekko zmieszany, tym samym popełniając kolejną gafę. Tym razem, byłam już naprawdę wkurzona.

– Maxton, a sądzisz, że czym ja się zajmuję? – zapytałam, patrząc mu prosto w oczy.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami, po jego minie wywnioskowałam, że zrozumiał, że wszedł na grząski grunt.

– Jestem weterynarzem – oznajmiłam, wstając. – A studiowałam na Uniwersytecie Yale i skończyłam go z wyróżnieniem. Wiem, co to znaczy żyć w wielkim mieście.

Widziałam, jak szczęka mu opada. Uśmiechnęłam się ironicznie, a następnie się odwróciłam. Odwiązałam konia od poręczy, który tym razem nie protestował. Pewnie wyczuł, że jestem zdenerwowana i lepiej teraz ze mną nie zadzierać.

– Na przyszłość – zatrzymałam się jeszcze na sekundę – nie próbuj nas ratować. My tutaj jesteśmy z własnej woli. Jeśli ktoś chce wyjechać, to po prostu to robi.

Wsiadłam na Sir Williama, a potem popędziłam do domu, zostawiając Maxtona na werandzie z zaszokowaną miną.